



Kryminał z myszką

65

Nie bój się nocy

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

NIE BÓJ SIĘ NOCY

Kryminał z myszką – Tom 65

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-74-4

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: Czytelnik, Warszawa 1968, seria „Z jamnikiem”

Rozdział 1

Od samego rana Rudzielcowi się nie wiodło. Najpierw – jeszcze było szaro na dworze – jakaś kobieta wynosiła śmiecie i usłyszała jego chrapanie. Rudzielec robił sobie potem wyrzuty: gdyby mniej wypił, chrapałby ciszej. To był dobry śmietnik, ciepły i smrodliwy, przez cały tydzień służył mu za sypialnię. Wymościł sobie piękne legowisko za pojemnikami, które ustawił w szeregu, ciasno jeden przy drugim i nie było powodu, dla którego ktoś mógłby go tam w nocy odnaleźć.

Przez cały tydzień trzymał się dzielnie, zaledwie dwa, trzy piwa i dwie zupełnie małe, nic nie znaczące ćwiartki, takie małe, że nikt by się za nimi nie obejrzał. Dopiero wczoraj trafił się znajomy, poszli w gęstą trawę obok szpitala, wleźli tam przez dziurę w murze cmentarnym z drugiej strony, było to idealne miejsce – cmentarz i szpital – nawet k...y tam nie chodziły, były przesądne.

Znajomy ostatnio się wzbogacił, przystał do jednej takiej ze straganem. Była właśnie pora na jesienne jabłka i gruszki, śliwki też się jeszcze trafiały i wystarczało codziennie na pół litra. Kiedy Rudzielec go spotkał, znajomy wzruszył się, od razu mu się przypomniały te trzy lata we wspólnej celi, właściwie to dwa i pół, bo potem go przenieśli piętro wyżej. Poszli w tę gęstą trawę, była dobra ryba smażona, trzy półlitrowki, no może o jedną za dużo, tak Rudzielec później sądził.

Więc kiedy kobieta usłyszała za pojemnikami chrapanie, narobiła krzyku na całe podwórze, ale to go nie zbudziło, tylko że potem przyjechały gliny, któryś zaczął nim potrząsać, odwracając głowę na bok, bo smród z Rudzielca był potężny. Wreszcie oprzytomniał i chciał przede wszystkim zwymyślać tę kobietę, ale milicjant pogroził mu pałką. Dokumenty zresztą miał w porządku, zwolnienie z więzienia chował nawet w celofanowej okładce, żeby się nie zabrudziło. Zameldowanie też było, tyle że nie w Warszawie, a w Radomsku, co za różnica, grunt, że było.

– Dlaczego nie wracacie do Radomska? – spytał sierżant. – Co robicie w śmietniku? Nowy skok się szykuje?

Rudzielec uznał, że za dużo pytań na raz. Milczał, obrażony.

– Co tu robicie? – powtórzył podoficer. Jego towarzysz, krępy, przysadzisty kapral, oświetlił latarką legowisko i skrzywił się:

– Na pewno zawszony... Obleżą radiowóz.

– Ni mam wszów – odparł z godnością. Była to nieprawda, ale co mu szkodziło, jak się przekonają na własnej skórze, to na drugi raz dadzą spokój.

Pewnie jednak te wszy zadecydowały, bo milicjanci puścili go wolno, przykazawszy tylko jak najszybszy powrót do Radomska. Obiecał, co chcieli, ani myślał ostatnią stówę tracić na bilet, a pieszo mu się nie chciało. Z satysfakcją wysłuchał, jak besztali dozorcę za niepilnowanie porządku. Postanowił, że za jakieś dziesięć, dwanaście dni będzie można tu wrócić, cieć był stary i leniwy.

To było jedno nieprzyjemne zdarzenie tego dnia. Drugie spotkało Rudzielca przed południem w sklepie samoobsługowym niedaleko wolskiego Pedetu, i znowu przez kobietę. Doprawdy, Rudzielec nigdy nie był wrogiem kobiet, ale teraz miał ich wyżej uszu. A byłby przysiągł, że patrzyła w inną stronę, ruchy miał szybkie, wprawne, w wiklinowym koszyku niósł ostentacyjnie połówkę praskiego i puszkę ze „śledziem w sosie własnym”. Ale ona miała dobre oko, to musiał przyznać.

Znowu przyjechała milicja, był już gotów zapłacić za ten spirytus, oni jednak chcieli wiedzieć, co jeszcze ma w teczce. No i wtedy właśnie zobaczyli to.

– Nie moja! – zastrzegł się od razu, kiedy wyciągnęli koszulę z teczki. To był niezły system: nie przyznawać się do niczego, choćby вина była oczywista. Zawsze był ciekaw, kiedy się zdenerwują i zaczną wymyślać. Krzyków się nie bał, nie takie rzeczy miał za sobą. Jak mu Kulawy rozciął nogę od kolana aż do kostki jednym cięciem noża... Tak. To był prawdziwy STRACH. Nóż, żyletka, butelka z obtłuczoną szyjką.

Oficer dyżurny z komendy dzielnicowej rozłożył koszulę na stole i oglądał uważnie. Uszyto ją z drogiej, jedwabnej popeliny bladoniebieskiego koloru, starannie wykańczając mankiety i kołnierzyk. Lewy rękaw był na przedramieniu mocno zakrwawiony i rozdarty, zaschnięta krew trzeszczała nieprzyjemnie, kiedy rozprostowywał materiał.

– Nożem – mruknął stojący obok porucznik z kryminalnego. – Patrz, to jest charakterystyczny ślad, tu, koło łokcia. Nóż z dość wąskim ostrzem. Skąd macie koszulę? – zwrócił się do Rudzielca.

Ten wzruszył ramionami. Bardzo chciało mu się powiedzieć, że sobie uszył, ale wiedział, że oberwie. W takich chwilach oni nie lubili żartów.

– No? – powtórzył ostro oficer. – Skądęś to wziął?

Przejdźcie na ty uświadomiło Rudzielca, że sprawa zaczyna być poważna. Należało powiedzieć prawdę, zresztą w niczym mu to nie przeszkadzało, najwyżej straci koszulę. Znajdzie inną.

– Tam była... – machnął ręką w nieokreślonym kierunku, wypadło to mniej więcej na szafkę z meldunkami i porucznik zdziwił się przelotnie.

– Tam, to znaczy: gdzie? Odpowiadaj po ludzku.

– Przecie mówię. Na śmietniku. – Z pewnym zażenowaniem dostrzegł coś na rękawie swojej kurtki, strącił szybko na podłogę i rozdeptał. Oficerowie odsunęli się trochę.

– Na którym śmietniku?

– Przy tej... przy Żelaznej, taki murowany, z czerwonej cegły. Pierwszoklasny śmietnik – rozmarzył się i westchnął.

– Pod którym na Żelaznej?

– A ja tam wiem... Pod dwudziestym – dodał szybko, widząc groźne spojrzenie.

– Gdzie leżała? Na ziemi czy w pojemniku?

– W czym? – nie zrozumiał.

– No, w takim blaszanym kubie?

– Aha. Była w tych papiórach – pokazał na gazetę. Porucznik nachylił się, poszukał wzrokiem tytuł, na dole zmiętej i mocno zabrudzonej strony odczytał: „Polityka”. Znalazł jeszcze datę, numer był z tego tygodnia.

– Kiedy wyciągnąłeś to z kubła?

– Wczoraj wieczór. – Przypomniało mu się, że rano milicja nie znalazła teczki wciśniętej między pojemniki i mimo woli zachichotał.

– Takie zabawne? – zdziwił się dyżurny. – Z kogo zdarłeś tę koszulę, co? Lepiej przyznaj się od razu. I tak pójdziesz siedzieć – straszyl.

Rudzielec nie przejął się. Miał czyste sumienie, a perspektywa siedzenia była raczej wygodna. Zbliżała się zima. Żeby ją przemieszkać w domu, w Radomsku, trzeba było wziąć się do jakiejś roboty, a na robotę Rudzielec był uczulony od dziecka, jak raz tłumaczył kierownikowi więzienia. Od razu dostawał wysypki i „chodziło mu” po krzyżach.

Porucznik sięgnął do szafy, wyjął azotox, obsypał Rudzielca od góry do dołu, potem wsadził go do milicyjnej nysy, bo radiowozu było mu szkoda, i zawiózł na Żelazną.

Dozorca właśnie w skupieniu zamiatał śmietnik, pomny rannych pouczeń. Pojemniki grzały się w jesiennym słońcu, wystawione dla opróżnienia przez MPO i Rudzielec w żaden sposób nie mógł wskazać, w którym znalazł skrwawioną koszulę. Oficer sądził, że być może

prócz niej w pojemniku będą jakieś inne rzeczy, które pomogą w śledztwie – ale włóczęga stał bezradny przed kilkunastu kubłami, zupełnie jednakowymi, pełnymi obierek i papierów.

Tera taka moda, że mało kto we wiaderku śmiecie wynosi – zauważył dozorca. – Zawijają w gazety i rano, po drodze do pracy, wyrzucają paczkę. Tak im, po prawdzie, wygodniej. Pełno tych paczek w kubłach.

– Aha – przyświadczył Rudzielec.

Przysiadł na ławeczce, ale dozorca spędził go, mamrocząc pod nosem, że dość miał z nim rano kłopotów. Oficer zainteresował się tym, dozorca nie umiał jednak powiedzieć, skąd milicja wtedy przyjechała ani jaki to był radiowóz. Dodał tylko, że żadnej teczki nie znaleźli i Rudzielec znowu zaśmiał się pod nosem.

Porucznik nie powiedział nic o koszuli, zabrał włóczęgę z powrotem do komendy i męczył go przez godzinę, próbując dowiedzieć się to i owo, nic z tego jednak nie wyszło. Rudzielec, po kilku próbach puszczenia wodzy fantazji, co bardzo lubił, przywołany do porządku odpowiadał logicznie, ale widać niewiele mógł powiedzieć. Naturalnie, jeżeli się wierzyło, że rzeczywiście znalazł koszulę w śmietniku, bo prawda mogła leżeć zupełnie gdzie indziej i z tym należało się liczyć. Dlatego też zamknięto go w końcu w areszcie, gdzie z miejsca upomniał się o obiad.

– Patrz, Heniek, stąd wypruto znaki – rzekł oficer dyżurny, który przez ten czas obejrzał sobie dokładnie koszulę. – Pewnie z jakiejś pralni.

Porucznik przyjrzał się śladom na materiale. Tuż pod kołnierzykiem widniał szereg nakłuć i mikroskopijne strzępy kolorowej nitki.

– Wygląda, że wypruto znaki już po prasowaniu. Chyba da się to odcyfrować.

Dało się stosunkowo łatwo. Koszula nosiła znak: „S-43” albo też „G-43”, raczej jednak było to „S”. Porucznik złożył w tej sprawie meldunek u swego naczelnika, dołączając dowód rzeczowy. Wspólnie ustalili, że trzeba zająć się tym bliżej.

– Przyjmiecie sprawę, poruczniku Skowroński – rzekł naczelnik. – Skontaktujcie się z wydziałem gospodarczym, oni tam orientują się w systemie numeracji w pralniach. Może być miejska, ale może też spółdzielcza; nie sądzę, żeby prywatna, chociaż i to jest możliwe.

– Tego wszarza muszę trochę potrzymać. On i tak ceni sobie państwowy wikt. Prokurator da chyba sankcję?

– Powinien. – Naczelnik był lakoniczny, kiedy rozmowa schodziła na prokuraturę.

Któraś z kolei pralnia miejska w okolicach Żelaznej rozpoznała koszulę i swoje znaki. Sprawdzenie w spisie klientów również nie trwało długo. „S-43” było pralniczym szyfrem dla oznaczania bielizny Jerzego Skolnickiego, lokatora domu przy Żelaznej dwadzieścia, mieszkania sześć.

– Kto to jest: Jerzy Skolnicki? – spytał porucznik w komendzie, tak na wszelki wypadek, pracownicy wydziału kryminalnego znali bowiem mnóstwo ludzi, zarówno z dobrej, jak i gorszej strony.

– Skolnicki? – powtórzył w zamyśleniu jeden z oficerów, specjalista od tak zwanych „wyższych sfer”, na które składali się artyści, literaci, lekarze i dyrektorzy w dzielnicy. – Nie znam go, ale wiem. Dyrektor fabryki „T-20” na Północnej Pradze. Automaty tokarskie, wiertarki, wiesz, te rzeczy. Dobra fabryka. Klucz, ciężki przemysł. Eksportują; co prawda od niedawna, bo zmieniali profil. Co zrobił ten facet?

– Nie wiem, może nic. Prawdopodobnie wyrzucił na śmietnik koszulę z rękawem przebitym nożem.

– Co ty mówisz? – zdumiał się kolega. – Może w tym coś być. Stary dał ci tę sprawę?

– Tak. Co jeszcze wiesz o Skolnickim?

– Niewiele. Mówią o nim, że twardy. Zdaje się, dobrze widziany na górze. Więcej ci powie praska dzielnica, zwłaszcza wydział gospodarczy. Oni znają przecież wszystkich dyrektorów, spotykają się przy różnych okazjach.

- Dobra, przejadę się na Pragę.
- Aha, wiesz, co jeszcze o nim słyszałem?
- No?
- Że babiarz.
- Żeby tylko takie grzechy ludzie mieli...

Po rozmowie w komendzie dzielnicowej Praga-Północ porucznik Skowroński wiedział już o dyrektorze Skolnickim tyle, że mógłby złożyć obszerne sprawozdanie na przykład w zjednoczeniu lub resorcie, nie miało to jednak nic wspólnego z zakrwawionym rękawem koszuli.

Oficerowie z Pragi wzruszali ramionami.

– Ten twój włóczęga ukradł mu pewnie przyodzievek i dostał nożem od jakiegoś kumpla – snuli domysły.

– Nie – zaoponował Skowroński. – Koszula jest na to za czysta, on jej nie nosił. Pewnie jeszcze nie zdążył. Może ukradł, ale jak? Gdzie? Nie w fabryce przecież i nie ściągnął dyrektorowi z grzbietu. Chyba że ukradł z domu. Tak czy owak, muszę tam iść – zdecydował.

– Od razu trzeba było tak zrobić – mruknął któryś. – Po co tyle gadania? Skolnicki mieszka na Woli, powinniście wiedzieć o nim więcej niż my. On na Pradze tylko pracuje.

– Praca kładzie piętno na życiu człowieka zirytował się porucznik. – Ja ludziom w domu do garnków nie zaglądam. Ani do szafy z bielizną.

– Czekaj, nie złość się. On ma w pracy bardzo dobrą opinię, jeżeli tak ci zależy na tym... piętnie.

– Podobno babiarz?

– Co to ma do rzeczy? Napracuje się chłop, to mu się jakaś rozrywka należy. W fabryce miłości nie uprawia.

– W każdym razie – wtrącił inny z oficerów – uważaj, jak będziesz z nim rozmawiał. Ze Skolnickim ludzie się liczą, cenią go. A on sam wybuchowy, impulsywny... uważaj, żeby się potem nie poskarżył na milicję. Na co ci to?

– Dobra, będę się cackał jak ze śmierdzącym jajkiem.

Uciekł, zanim zdążyli mu nawymyślać. Pod wieczór zadzwonił do drzwi mieszkania dyrektora Skolnickiego. Otworzyła mu wysoka, niemłoda kobieta o twarzy zafrasowanej, przygnębionej, ubrana w jerseyową garsonkę koloru zwiędłych liści, pasującą do tej twarzy, niczym nie ozdobioną, surową.

– Pan do kogo? – spytała nieprzychylnie.

– Czy zastałem dyrektora Skolnickiego?

– Nie. Mąż ma dziś naradę w fabryce. A o co chodzi?

– Jestem porucznik Skowroński z Milicji Obywatelskiej. – Zauważył zdziwienie w oczach, ściągnęła brwi. – Czy mogę z panią chwilę porozmawiać?

Nagle zaniepokoiła się.

– Czy coś z mężem? Stało się coś? – Odsunęła się. – Proszę, niech pan wejdzie.

– Nie, nic się nie stało – uspokoił ją. Kiedy usiedli w pokoju po lewej stronie hallu – był to duży pokój dwuokienny, służył widać za gabinet do pracy, bo stało tu biurko, telefon, a przez całą ścianę biegły regały pełne książek – zapytał:

– Czy nic państwu z domu nie zginęło?

– To znaczy... pyta pan, czy nas nie okradli? – zdziwiła się. – Nie, skądże.

– Na pewno? Nic z rzeczy osobistych, pieniędzy, drobiazgów?

– Nie. Chyba, że mąż... ale nic mi nie mówił. Może w fabryce?

– Gdyby w fabryce, nie przyszedłbym tutaj – uśmiechnął się. – Czy pani oddaje bieliznę do miejskiej pralni?

Obserwował uważnie jej twarz. Była spokojna, w dalszym ciągu nieco zdziwiona.

– Tak. Mamy gospośnię, ale ona pierze tylko drobne rzeczy.

– Do pralni na Żelaznej pod dwudziestym szóstym?
 – Tak.
 – Jakim skrótem pralnia znaczy bieliznę?
 – Skrótem? – Zastanawiała się przez chwilę. – Zaraz, doprawdy... – wyszła na chwilę do drugiego pokoju, przyniosła stamtąd ręcznik. – Tu gdzieś musi być... gospościa pamięta, ona się tym zajmuje, ale wyszła w tej chwili... O, jest – pokazała znak. Porucznik przyjrzał się. Było to „S-43”. – Ale o co chodzi? Okradli pralnię?
 Zdecydował się. Wyjął ze swojej teczki skrwawioną koszulę, tak, aby nie widać było rękawa.
 – Czy to jest koszula pani męża?
 – Wie pan, koszule są takie podobne – powiedziała z wahaniem, dotykając materiału. – Owszem, on ma jasnoniebieskie z popeliny, chociaż teraz rzadko je nosi, woli nylonowe. A skąd pan to wziął? O, Boże! – krzyknęła, kiedy nagłym ruchem rozwinął rękawy. – To krew?
 – Krew. Znalezione tę koszulę w podwórzu, w jednym z pojemników na śmiecie. Lewy rękaw jest przedziurawiony nożem. Czy pani mąż się nie skaleczył?
 – Ależ skąd, przecież bym o tym wiedziała!
 – To nie musiało być poważne skaleczenie. Może nie chciał pani przestraszyć i wyrzucił od razu koszulę na śmietnik?
 Potrząsnęła głową. Wciąż ze strachem spoglądała na zakrwawiony rękaw.
 – Tu były znaki, właśnie „S-43”. Przed wyrzuceniem zostały wyprute. Dlaczego?
 – Nonsens – odparła gniewnie. – Jak pan mógł odczytać, że to był nasz znak? Przecież tu nic nie widać, tylko trochę śladów po ukłuciu igłą. Może być S albo G czy C – wzruszyła ramionami.
 – Pralnia rozpoznała znaki jako „S-43” – zauważył. – Kiedy dyrektor Skolnicki będzie w domu? – Nie czekając na odpowiedź, sięgnął do telefonu. – Jaki tam jest numer?
 – Do gabinetu: 19-26-26. Ale narada jest pewnie w sali konferencyjnej, tam się pan nie dodzwoni. Niech pan przyjdzie jutro rano gdzieś koło wpół do siódmej, bo o siódmej mąż wyjeżdża do fabryki. Albo niech pan teraz tam pojedzie. A najlepiej, niech pan poczeka na gospozię, niedługo wróci.
 Gospościa, tęga kobieta o bladej, nalanej twarzy, długo medytowała nad koszulą, wreszcie orzekła, że „tak jakby pana dyrektora, ale może i nie”. Natomiast stanowczo zaprzeczyła, jakoby Skolnicki skaleczył się w rękę.
 – Już ja bym o tym wiedziała. Albo pani – dodała niedbale.
 Dyrektorowa, postawiona tak zdecydowanie na dalszym planie, poruszyła się niepewnie w fotelu. Wtrąciła, że mąż często wyjeżdża i kupuje sobie bieliznę według własnego gustu i uznania, to za granicą, to w innych miastach kraju. Trudno się więc czasem zorientować, ile czego ma i jakie.
 Skowroński, trochę zirytowany, wpakował koszulę do teczki i pojechał do fabryki „T-20”. Okna sali konferencyjnej były oświetlone. Na dziedzińcu stało kilka samochodów, widać narada jeszcze trwała. Postanowił, że poczeka. Wieczór był ciepły, siadł więc na ławce przed budynkiem administracyjnym, dowiedziawszy się przedtem od portiera, który samochód należy do Skolnickiego. Portier był rozmowny, nudziło mu się, przysiadł na tej samej ławce i chętnie przyjął papierosa.
 Po pół godzinie porucznik wiedział o dyrektorze naczelnym jeszcze więcej, niż mu powiedziano w komendzie, były to jednak znowu sprawy czysto fabryczne. Słuchał ich raczej z zawodowego przyzwyczajenia niż z potrzeby. Wreszcie ktoś śpiesznie zbiegł ze schodów, potem zaczęli wychodzić po kilku, rozmawiając i sprzecząc się. Ostatni ukazał się dość wysoki, silnie zbudowany mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez ramię i grubo wypchaną teczką.

– To dyrektor Skolnicki – mruknął portier podnosząc się z ławki. Ukłonił się i wszedł do budynku, aby pogasić światła.

Skolnicki skierował się w stronę samochodu, kiedy oficer zastąpił mu drogę. Dyrektor, myślami tkwiąc jeszcze przy naradzie, z początku nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

– Koszula? Jaka koszula? – powtarzał niecierpliwie. – Mam dwie kobiety w domu, one się zajmują takimi rzeczami.

Zgodził się jednak, acz niechętnie, zawrócić do gabinetu. Kiedy Skowroński rozwinął przed nim nieszczęsną popelinę, dyrektor uniósł brwi ze zdumieniem.

– Pańska czy nie? – spytał porucznik, pragnąc wreszcie ustalić prostą na pozór sprawę.

Skolnicki przyglądał się rozdarciu i plamom zeschłej krwi, potem stanowczo potrząsnął głową.

– W każdym razie ja się w niej nie skaleczyłem – odparł. – Gdzie ona była?

– Na śmietniku, w podwórzu domu, gdzie pan mieszka.

– Nic na śmietnik nie wyrzucałem.

– Czy miał pan taką koszulę? – powtórzył Skowroński cierpliwie, czując, że go cholera bierze.

– Cóż... numer kołnierzyka się zgadza, kolor i gatunek też, miałem takich kilka, ale czy ja wiem... A to takie ważne?

– Trudno mi w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie. Byłem u pana w domu, rozmawiałem z żoną i gospożą. Nie potrafiły określić z całą pewnością, czy to jest pańska własność. W każdym razie zapewniły mnie, że nie było w domu żadnej kradzieży ani włamania. Może okradziono pana w podróży, w hotelu?

– Chyba nie – dyrektor bezradnie rozłożył ręce. – Jestem trochę bałaganiarz, nie liczę, ile mam bielizny. – Zamyślił się na chwilę i uśmiechnął. – Były dawniej takie lata, kiedy miałem tylko dwie koszule. Wtedy łatwo było spać. Jedną prałem, drugą miałem na sobie. Dzisiaj, wie pan, jest inaczej.

– Tak, oczywiście – potwierdził Skowroński myśląc, o co by tu jeszcze zapytać. Nagle zapragnął skończyć to idiotyczne szukanie właściciela koszuli i pojechać do domu. Dochodziła dziewiąta wieczór. Może włóczęga znalazł łach w innym śmietniku, może wszystkie pralnie jednakowo – tak zwanym chińskim alfabetem – znaczą bieliznę i takich „S-43” jest w Warszawie kilkaset...

*

Prokurator nie dał sankcji na zatrzymanie Rudzielca w areszcie dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Nie widział żadnych podstaw. Każdy może wyciągnąć coś ze śmieci, trudno to uważać za kradzież. Argument porucznika, że być może Rudzielec nie znalazł, lecz ukradł, a potem wdał się w jakąś brzydką sprawę, nie wydał się prokuratorowi przekonujący.

– Macie jakieś dowody? – mówił niechętnie, chodząc po gabinecie. – Choćby poszlaki? Pralnia rozpoznała koszulę jako własność Skolnickiego, ale sam Skolnicki temu w gruncie rzeczy zaprzecza. W każdym razie twierdzi, że nic mu nie zginęło. No więc o co chodzi? Gdzie ten poszkodowany? Gdzie przestępca? Pralnia mogła się zwyczajnie pomylić. Ktoś tam mógł się skaleczyć i cisnąć pokrwawioną bieliznę do śmietnika, bo tak mu się podobało. Nie widzę w ogóle sprawy. Mało macie w komendzie roboty? – dodał zaczepnie.

Skowroński wzruszył ramionami. W porządku, jutro Rudzielec wyjdzie i niech sobie wraca do tego swego Radomska czy na koniec świata. Pożegnał prokuratora i wyszedł.

Zanim jednak dojechał do komendy, postanowił, że jeszcze z włóczęgą porozmawia. „Sprawy” może nie było, ale coś tu nie grało. Coś było nie tak jak trzeba, aby uznać rzecz za normalną.

Rudzielec dostał po śniadaniu papierosa i kurzył go sobie powoli, przysiadłszy na brzegu pryczy. Był zadowolony. Noc minęła spokojnie, aresztanci zachowywali się przyzwoicie, dali spać. Rudzielec nie lubił, kiedy go kto zaczepiał albo za dużo mówił. Denerwował się wtedy i mógł dać w mordę, co było w areszcie źle widziane.

Na widok porucznika uniósł się z pryczy, grzecznie powiedział dzień dobry. Azotox przez noc podzielał, można więc było bez większej obawy zaprowadzić aresztanta na górę i posadzić z drugiej strony biurka. Papierosy leżały w takiej odległości, że wystarczyło sięgnąć ręką, co też Rudzielec zrobił, nie czekając na zaproszenie. Potem mogli nie dać.

– Słuchajcie, Dąbrowiak – zaczął porucznik, podsuwając mu zapaliki – opowiedzcie jeszcze raz, jak to było z tą koszulą.

– Z czym?

Rudzielec naprawdę zapomniał, dlaczego został zatrzymany. Zdarzało się, że zamykano go bez powodu, „za sam wygląd”, jak tłumaczono później komendantowi czy naczelnikowi wydziału. Lubił wtedy słuchać mocnych słów, które padały w jego obronę, słów podbudowanych przepisami prawnymi i osobistym temperamentem władzy.

Z koszulą, którą podobno znaleźliście w śmietniku – cierpliwie wytłumaczył Skowroński. – Była w waszej teczce.

– Cholerski łańch – mruknął Rudzielec obojętnie. Spodobał mu się obrazek, wiszący obok żelaznej szafy, był to ładny widoczek, chyba jesień, bo drzewa namalowano żółtym i czerwonym kolorem, a niebo tak niebieskim, jakiego jeszcze nigdy nie widział.

– Wiemy, kto ją wyrzucił na śmietnik – rzekł oficer, nie spuszczać wzroku z twarzy włóczęgi. – Czy widzieliście, jak to było?

– Aha – odparł Rudzielec i nagle nastroszył się. Wciągnął głęboko dym papierosa, odkasznął, przetarł rękawem załzawione oczy.

– Widzieliście? – Skowroński pochylił się w krzesło, ale twarz jego nie zmieniła wyrazu. – Jak ten człowiek wyglądał?

– Kto?

– Ten, który włożył do kubła koszulę. Przecież widzieliście go.

– A, gdzie tam!

Porucznik przygryzł wargi. Nie znał tego łańcegi, nikt go nie znał w komendzie i nie wiedział, jak z nim postępować.

– Dąbrowiak, nie udawajcie głupiego! – krzyknął ostro. – Widzieliście czy nie? Bo was przetrzymam do północy. Albo i do rana. Widzieliście tego człowieka?

– Nie widziałem – odparł Rudzielec stanowczo. – Nikogo. Baba mnie rano zbudziła, pies jej mor... – umilkł. Wiedział, że tu nie pozwalają kłąć.

– Skąd wzięliście koszulę?

– Z kubła. Leżała w gazecie.

– Kto przyniósł tę gazetę?

– Nie widziałem – powtórzył z uporem. – Była w kuble.

– Skąd mieliście przy sobie sto złotych?

– Z butelek.

– Gdzie sprzedaliście te butelki?

– Na punkcie. Jeszcze w tamten wtorek. Albo we środę... – Zastanawiał się dłuższą chwilę. – A może w piątek?

W godzinę później Skowroński miał dość. Albo włóczęga rzeczywiście nic nie widział, albo jest chytry i ma w tym wszystkim jakiś swój interes. Tak czy owak, należało go wypuścić, co też zrobił z pewnym ociąganiem. Rudzielec przyrzekł pierwszym pociągiem odjechać do Radomska, pożegnał się z godnością i opuścił komendę.

*

Niedziela zapowiadała się pięknie, ale rano wstał chmurny, wiatr szarpał za włosy, zapierał oddech, wędkarze klęli Wicherka i wciągali grube wełniane swetry, pachnące naftaliną. Ci, którzy nie wybierali się za miasto, spali do południa, potem jedli spóźnione świąteczne śniadanie i wałęsali się po mieszkaniu, postanawiając zrobić mnóstwo rzeczy, na które w tygodniu nie było czasu.

Antoni Piekarski, pracownik instytutu naukowego, wbrew chęci i woli obudził się o szóstej. Przez chwilę leżał na wpół przytomny, odrętwiały ze snu, gotów zerwać się z tapczanu, pełen niepokoju, że się spóźni, zaraz jednak przypomniał sobie, że to niedziela, i z westchnieniem ulgi przewrócił się na brzuch. Była to jego ulubiona pozycja przed zaśnięciem.

Mimo to nie mógł już zasnąć. Zapalił papierosa, czym wybił się z resztek snu, więc zaświecił lampę, bo w pokoju był mrok i chłód. Żona spała o ścianę, tak już było od dawna, niewiele mieli sobie do powiedzenia, nie dzielili poglądów ani zainteresowań, właściwie łączyło ich tylko wspólne mieszkanie i lata przyzwyczajenia. Myślał o tym czasami, trochę zdziwiony, że tak się stało, trochę zrezygnowany, wiedział zresztą, że podobnie jest u wielu jego kolegów.

Wypalił papierosa, potem postanowił, że wstanie i zrobi daleki spacer po Osiedlu. Mieszkał tu osiem lat, właściwie sprowadził się, kiedy na pustym, wielkim placu wyrósł pierwszy dom, teraz tych domów było kilkadziesiąt i Osiedle – bielejące z daleka pośród otaczających horyzont lasów podmiejskich – wyglądało jak spore miasteczko. Liczyło się w stołecznych statystykach, było jeszcze „wielką Warszawą”, chociaż stąd do centrum trzeba było jechać elektrycznym pociągiem przeszło pół godziny.

Ubrał się w stare wytarte spodnie, używane do pracy w domu, na koszulę wciągnął szary sweter, pośpiesznie przegryzł coś w kuchni, nie chciało mu się jeść tak rano. W codzienne dni śniadanie jadł dopiero w instytucie. Kilka minut przed siódmą zbiegał już ze schodów, ciesząc się na ten poranny niedzielny spacer, kiedy nic nie kazało mu się śpieszyć i nikt na niego gdzieś tam nie czekał.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI